





Sellier



WIELKI CZWARTER.



WIELKI CZWARTEK.

OBRAZ WIOSKOWY,

PRZEZ

WŁADYSŁAWA SYROKOMŁĘ.

WILNO.

NAKŁAD MAURYCEGO ORGELBRANDA.

1856.



68481

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy.
Wilno 29 Marca 1856 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.

Czcionkami A. Marcinowskiego.

PAŃSTWU
ERNESTOWI I JÓZEFINIE
VOIGTOM.

Na pamiątkę dziesięcioletniej dobrej
przyjaźni, poświęca

AUTOR.

SŁÓWKO DO CZYTELNIKA.

Gdy ten obrazek blahy, wioskowy,
Już był powierzony drukarskiej prasie,
Jedna Gazeta, w tym samym czasie,
Pisała o mnie takimi słowy:
Żem czyniąc drobne próbki drammatu,
Na inszą drogę wszedł nowocześnie;
Żem zdradził wiarę sielskiemu światu;
Że chcę porzucić ludową pieśnię.
A wy, zaprawdę, słuchacze mili,
Coście przywykli wierzyć drukowi,
Możeście temu już uwierzyli,
Bóg wie co o mnie trzymać gotowi!
Jeśli porzucę wioskową fletnię,
Dla was zaiste niewielka strata,
A Melpomena niewyjdzie świetnie,
Jeśli układać pocznę drammata.
Ale, lirniczą gardząc ozdobą,
Jabym popełnił niewdzięczność srogą.
Pieśni wioskowa! Wszakże mnie z tobą
Tak było dobrze, tak było błogo!
Bo czyż mi mało starczy przedmiotów:
Wioska, przyroda, ludu drużyna?
Czyż mało echa w sercu Litwina,
Co każdą nutę oddźwięknąć gotów?
Czyż ja przez skromność zataić mogę,
Co trzeba pisać łzami wdzięcznemi,
Że piosnki moje znalazły drogę
Do wszystkich kątków rodzonej ziemi?

Wy, którym duszy mojej głab znany!
I wy wrogowie!—powiedzcie sami,
Gdym był spotwarzan i zapoznany,
Czem się broniłem—memi pieśniami.
A jażbym teraz, moeny mój Boże!
Miał złamać flet mój niewdzięczną ręką?
O! jak miłości z serca niezłożę,
Tak cię nierzucę moja piosenko.
A jeśli ducha potrzebie gwoli,
Insza się znajdzie myślom osnowa,
Człowiek zapłacze lub poswawoli,
Na inną nôtę niżli wioskowa,
To jeszcze bracia weale nieznaczy,
Ześmy niepomni co wiosce dłużni,
Grajka i jego dobrych słuchaczy
Jeszcze niełacno krytyk poróżni.

Przyjmijcież sercem, o dobrzy ludzie,
Prosty obrazek z wioskowěj niwy,
A ja współzuciem waszém szczęśliwy,
Niebędę sobie folgować w trudzie.
A czyli w pieśni czy w dyalogu,
Przyjdzie mi gwarzyć pierśmi pełnemi,
Zawsze to będzie o Panu Bogu,
O moich braciach, o mojej ziemi.

Wł. Syrokomla.

d. 29 Kwietnia 1856.

WIELKI CZWARTEK.

(Obraz wioskowy).

I.

Był Wielki Czwartek — poranek, marecowy —
Na czarnych polach topniał lód zaskrzepły,
Śpiewał skowronek, wiatr chystał się ciepły
I ciepłe myśli napędzał do głowy.—
Człowiek skwapliwszy do Boga i świata,
Bo coś mu serce wiosenniej kołata.
Po siném niebie kilka chmurek płynie,
Nad czarną ziemią mgła ranna się ściela;

Nad cichą wioską po czarnej równinie
Huczy dzwon stary — bo dziś Msza w kościele.

I przed drewnianą, zamszoną dzwonniceą
I pod kościoła pochyloną ścianą,
Dział lud Boży zgromadził się rano,
Bo każdy przyszedł z wielką tajemnicą:
Swe całoroczne i błędy i bole
Wyznać u kratek do ucha plebana,
A w łzach, gdy ciężka zasklepi się rana,
Spożyć chleb Życia, przy Chrystusa stole.
Nim organista kościółek otworzy,
Wedle dzwonnicy kupi się drużyna;
Jeden się modli, grzechy przypomina,
A drudzy gwarzą, by czas zeszedł sporzej.

Jest o czém gwarzyć, jak zwyczajnie wiosną:
 Czas ruszyć z sochą— a tu niema chleba;
 Woły do pracy pokarmić potrzeba,
 A trawy jeszcze nieprędko wyrosną!
 Sianka niewiele w ubogiej odrynie,
 Ostatnia wiązka skarmi się co chwila;
 A runi z pod śniegu źle coś się wychyla,
 Bóg raczy wiedzieć, czy nas głód ominie?
 A choć u wszystkich w jeednakiej chudobie
 Jednaka dola i myśl w jdněj stronie,
 Miło z sąsiadem pogawędzić sobie,
 Wedle dzwonnicy siadłszy na berwionie,
 Pokiwać głową po szczerėj gawędzie:
 «Tak, tak, sąsiedzie! Bóg wie co to będzie!»

II.

Lecz brzękły klucze w rękach organisty,—
 Przeszedł przez cmętarz mruczając święte psalmy.
 A starey mówią: «Dziś dzień uroczysty!
 «Choć na czas myśli znikome oddalmy,
 «Zdajmy swą dolę na wyroki Boże,
 »A jakoś biędę przełożacem może.»
 I w rdzawym zamku zaskrzypiał klucz stary,
 Dzwon stęknął, mruczy, chwieje się, kołysa;
 Za organistą do wioskowej fary
 Tłoczy się ciżba gromadnie a zeicha;
 A choć stąpają najciszej jak mogą,
 Odbija łoskot echa pod podłogą.

III.

Kościół ubogi — w ołtarzu po prostu
W ciemnych lichtarzach cztery żółte świece,
I stary obraz wiejskiego pokostu,
Na którym Chrystus pasie swe owieczki.
We dwóch ołtarzach, na prawo i lewo,
Jest Matka Boża i święty Antoni;
Anioł ukłeka przed Najświętszą Dzielą,
A patron święty ma liliję w dłoni,
Twarz jego jasna, ale wzrok poddańczy,
Na szorstkich rękach małe dziecic nianczy.
Tuż przy ambonie, dwa konfessjonały,
Przy nich się mary śmiertelne stanowi,

I w czarnych ramach obraz wypłowiasty,
Na którym Zbawca wręcza klucz Piotrowi.
Cztery chorągwie, a każda podarta,
U skromnych ławek utkwione na boku:
Tam święty Michał pokonywa czarta,
Tam święty Jerzy pastwi się na smoku,
Wojciech odbiera palmę z rąk anioła
I Śmierć do tańca wszystkie stany woła.

IV.

Skrzypły drzwi boczne—wioskowa gromada
Serdecznym wzrokiem patrzy za balaski:
Wszedł stary pleban i na klęczki pada,
Prosić u Niebios przed spowiedzią łaski;
Przypadł do świętych ołtarza podnóży
Aż głucho echo odhuknęło w sklepie.
Wtedy pacholę, co mu do mszy służy,
Dziecięcym głosem *Miseratur* trzepie,
I *Confiteor* z ust dziecinnych płynie
Z uśmiechem w oczach, z błędami w łacinie.

V.

Powstał xiądz pleban i poszedł pomału
W nawę kościoła do konfessjonału.
Błysła promieniem jego twarz jak święta,
Skreślił znak Krzyża— cofnęły się świadki,
I najpierwszego z rzędu penitenta
Przyzwał skinieniem przed pokutne kratki;
Złocistą stułę skrzyżował na łono,
Ukrył się w chustkę kraciatą, czerwoną,
I począł badać aż do głębi ducha—...
Co tam gadali, Bóg chyba podsłucha.

VI.

Tak jeden, drugi i trzeci i czwarty,
Zalani łzami odeszli od kratki.
W bocznych ołtarzach snadź z piersi rozdartej
Jeszcze spowiedzi leje się ostatek.
Już xiądz niesłysz, ale Pan Bóg słyszy,
Jak z serca ciężka odpada im żmija,
Pacierz pokutny kiedy szepcą w ciszy,
Siedem *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maryja*.
A gdy serdecznie, jak Chrystus w Ogroju,
Wyspowiadana modli się gromada,
Kiedy ostatnie mówi *Chwała Ojcu*,
Z kościelnych okien słońce na nich pada.

VII.

Bije godzina dziewiąta, dziesiąta,
A pleban ciągle za kratkami siedzi.
Lud to się przyszlą spowiedzią zaprząta,
Albo rozgrzeszon idzie od spowiedzi,
I klęka jeden, potem drugi po nim
Przed Matką Bożką i świętym Antonim.
Bo jakież grzechy na wiosce być mogą?
Jeden do pana odezwał się śmielej,
Drugi swe żyto może sprzedał drogo,
Trzeci w gospodzie hulał co niedzieli,
Albo na bratnią gospodarkę siada,
Albo przekosił granicę sąsiada,—

Lub kiedy latem dokuczały deszcze,
On zbyt troskliwy o kopy w stodole,
Po sześciodniowym a krwawym mozole,
Złamał niedzielę— i pracował jeszcze,
Lub się ze skargą na Opatrzność miota: .
Oto są grzechy kmiecego żywota.

VIII.

Pleban, co z ludem przepędził swe życie,
Być jego ojcem wziął za powołanie,
Błędów ich serca świadom należycie,
Najskuteczniejsze lekarstwo ma na nie.
Słódko porady, a słódko pociechy,
Szczere zakłęcie na Chrystusa rany;
A już wytryska łza żalu za grzechy,
Już grzesznik został z Bogiem pojednany;
Lekki na duchu od brzemion sumienia,
Odszedł rozgrzeszon—godzien rozgrzeszenia.

IX.

Tak po kolei, z pokutników grona,
Wiejska dziewczyna wedle kratek stanie:
Młoda snadź dusza pokorą wiedziona
Święte kościoła spełnia przykazanie.
W łagodnym wzroku, w uśmiechu dzieciny
Jeszcze nieświta żadna myśl namiętna;
Na jej obliczu niedopatrzysz winy,
Bo grzech od razu wyciska swe piętna.
Czy może życia gorycze i bole
Tutaj przywiodły jej duch udręczony?
I tego nieznać: bo na jasnym czole
Niema zadraśnień z cierniowej korony,

Co to do głowy wpija się i wjada,
I boli w mózgu jak rana głęboka,
Na czole z karbów, jak z liter układa,
Historję życia czytelną dla oka.
Tu jeszcze czoło jakby karta biała,
Złoci się na niem niewinna swoboda;
I piękną była pokutnica młoda,
Gdy się jak wstydząc do kratek zbliżała:
Tak się rumienić grzesznik nie jest w stanie,
To nie wstyd hańby, lecz zakłopotanie.

X.

Xiądz nad nią znamię nakreślił krzyżowe;
Ona się żegna i klęka u kratki,
Białą oponę zarzuca na głowę
I ręce składa— cofnijcie się, świadki!
Niechaj nikt na nią niepogląda zdala,
Nikt nienatęża ciekawego ucha:
Bo jeden wyraz jeśli kto podsłucha,
Już całą spowiedź dziewiczą pokala.
Dajcie, niech z Bogiem rozgada się szczerze,
Na drogę życia weźmie umocnienie;
Ona niedługo miejsce wam zabierze:
Bo taka spowiedź— krótka jak westchnienie.

XI.

Ale już kwadrans trwa spowiedź dziewczyny,
A ludzie patrzą ciekawie, nieśmiało;
Zegar kościelny wybił pół godziny,
I trzy kwadranse i godzinę całą—
A ona, płachtą płócienną okryta,
Jeszcze na miejscu klęczy pokutniczem;
A stary pleban z ojcowskiem obliczem
Jeszcze coś szepce i o coś ją pyta.
Kończy się wreszcie spowiedź uroczysta,
A pokutnica drżąca i wybladła
Do stóp świętego trybunału padła,
A na jej oczach błyszczy łza kroplista.
Kapłan się modlił dłużej niż zwyczajnie;

Wyraz pochmurny pokrył jego lice :
 Musiał usłyszeć wielkich grzechów tajnie—
 I nie rozgrzeszył młodą pokutnicę.
 Och ! jeśli wina najcięższa ją brudzi,
 Jeżeli godna czyscowej katuszy,
 To już w tej chwili miała czyścić w duszy,
 Gdy poraz pierwszy spójrzała na ludzi !
 Gdy ludzkich źrzenie ciekawych tak wiele
 Tysiącem żądał w jej serce się wpiły,
 Chciała płacz wstrzymać—lecz niestało siły,
 Boleśne łkanie jęknęło po kościele.
 Wreszcie się zrywa i oczy zasłania,
 Między filary najciemniejsze kroczy,
 Kędy na ścianie wisiał na uboczu,
 Obraz Maryi, Matki prześląganja.

XII.

Tymczasem spowiedź szła dalszą koleją:
Przychodzi jeden i drugi i trzeci,
Wyznając winy, łzy pokutne leją
Mężowie, starcy, niewiasty i dzieci;
Kolejno skrucą oczyszcza się rzesza,
Ręka kapłańska każdego rozgrzesza.
Coraz mniej ludzi u konfessjonatu,
A dziad kościelny na wotywę dzwoni,
Gdy stary wieśniak z siwizną na skroni
Do świętych kratek zbliżył się pomału.
Ukląkł pokornie, przeżegnał się zwolna,
Westchnął głęboko, czapką twarz zasłania,
A dusza prosta, do kłamstwa niezdolna,

Poczęła swoje grzechowe zeznania.

Niewielkie muszą być grzechy w człowieku,

Co w cichej wiosce i z ludźmi prostemi

Przebył wiek czynu— już we wspomnieniu wieku

Spokoj u bliźnich nie zmaci na ziemi:

Bo krew², co krąży powolniej a czystiej,

Dojrzałe myśli do spokoju zowie,

I szął miłości albo nienawiści

Niezagra w sercu, niezakipi w głowie.

Próżno się z chorów organista zżyma,

Że pora służby odprawować Boże:

Starzec niedługo plebana zatrzyma,

Bo taka spowiedź długą być niemoże;

Msza święta wyjdzie za kwadrans najdalej—

Śmiało niech świeczki zakrystyan pali!

XIII.

Tymczasem starzec wciąż gada swe winy,
 A ludzie patrzą ciekawie, nieśmiało;
 Wybija kwadrans, bije pół godziny
 I trzy kwadranse i godzinę całą.
 Już zakrystyan, sztuka niecierpliwa,
 I sam się krząta i chłopców napędza;
 Już organista *Introjbo* przegrywa,
 Aby wywołać od spowiedzi xiedza;
 Już świeczki gorą u Pańskich ołtarzy,
 Pokutne psalmy zmówiła gromada,—
 A pleban jeszcze starego spowiada,
 Widać wzruszenie na obódwóch twarzy.

A gdy nakoniec, po spowiedzi długiej,
Starzec padł na twarz, xiądz mówił pacierze,
To na ich oczach znacznie było szczerze,
Że się spłakali i jeden i drugi.

A jednak znacznie, że łzami cierpienia
Jeszcze grzechowy nieomyty zakał:

Bo xiądz starcowi nie dał rozgrzeszenia,
A starzec głośno jak dziecię zapłakał;
I długo leżał przed konfessjonałem,
Chociaż nań ludzie patrzą jak na dziwo,
I długo płakał jęczeniem zbolałem,

W kościste dłonie tuląc twarz sędziwą.

A pleban powstał— i po krótkiej chwili

Już się w ubiorze przed ołtarz ukaże;

Zaśpiewał *Glorja!* w dzwony uderzyli,

Jak w Wielki czwartek Rzymski Kościół każe.
A ciżba ludu oblega balaski
I serdecznemi modli się wyrazy,
By prędzej przyjąć utwierdzenie Łaski
I Ciało i Krew' Baranka bez zmazy,
Łączy modlitwę z ofiarą ołtarza
I mękę Pańską boleśnie rozważa.

XIV.

Xiądz ujął palmę i czyta we mszale,
 Co o téj męce święty Łukasz pisze;
 A organista fałszując klawisze
 Chrapliwym głosem śpiewa gorzkie żale.
 Naród się modli—komu głosu stało,
 Ten śpiewa pieśni, wspiera organistę;
 Żaki kościelne dobitnie a śmiało
 Odpowiadają: *Laus Tibi Christe!*
 Stare klekotki w ich swawolnej dłoni
 Grzmotnęły razem, skrzypiąc na swój osi,
 Gdy dziewięć razy na *Sanctus* się dzwoni,
 Gdy się hostyja lub kielich podnosi.

Ale najgłośniej grzmotnęła klekotka,
 Że aż się zatrzęsł drewniany dom Boży,
 Gdy kapłan puszkę złocistą otworzy,
 Gdy się odwróci do narodu środka;
 Dzierżąc Chleb Ducha nad usta głodnemi
 Spowiedź powszechną odprawuje z niemi.
 Słudzy kościelni téjże samej chwili
 Białą oponą balaski przykryli.
 Lud rzędem klęka ze skrucą na twarzy,
 Ręce na piersiach jak do trumny składa;
 Mężowie, dzieci, niewiasty i starzy,
 Każdy się w duchu raz jeszcze spowiada!
 Xiądz przeżegnawszy ten orszak tak liczny,
 Z ołtarnych stopni idzie ku gromadzie,
 I powtarzając text ewangeliczny

Hostyję świętą w każde usta kładzie.
Każdy pożywa, płonąc od radości,
Że dziś sam Chrystus w jego piersiach gości.
A odchodzący od kratek balaski
Weseli wszyscy i młodzi i starzy,
Znać w każdym oczach namaszczenie Łaski,
A spokój Pański zamieszkał na twarzy.
Czy to na długo? mój Boże! mój Boże!
Czemu tak słaba ta dusza człowieka?
Na progu chaty, na emętarczu może,
Stargać ten pokój jakaś hydra czeka!
A póki dzionek zaświta jutrzejszy
Ileż chmur ciężkich zawisnie nad głową!
Nasz skarb spowiedzi co chwila się zmniejszy—
My nieszczęśliwi i grzeszni na nowo!

Lecz byle dobrej niezabrakło chęci,
Łza i Chleb Życia są zawsze dla rzeszy;
Gorzéj tym, których kapłan nierozgrzeszy,
Co od Bożego stołu odepchnięci,
Którzy się tulą z płaczem za filary,
Jak ta dziewczyna i ten wieśniak stary.



XV.

W stronie kościoła— wiejski topor cieśli
Już wybudował tarciczną ciemnicę,
Już ją ubrali w kobierce i świece,
Już tam Najświętszy Sakrament zanieśli:
Rytuał Rzymski jak zalecił wszędy,
Wielko-czwartkowe spełniono obrzędy.
Naród hojnemi zalewa się łzami,
Modli się szczerze i w piersi kołata,
Że przed lat kiedyś dwiema tysiącami
Chrystus w ciemnicy był więźniem Piłata.
Xiądz, co się trudził od świtania słońca,
Zrzuciwszy ornat, chce wytechnąć po pracy;

Już organista śpieszy się do końca,
Już mu nie wtórzą wioskowi śpiewacy;
Już naród Boży, co gwarzył w przedsieni,
Znaczno po głosach, że odszedł daleko;
Nawet żebracy pieśniami strudzeni
Już się na szczudłach do szpitala wleką.
A jeszcze klęczą przed Najświętszą Panną
Nierozgrzeszeni i cierpiący srodze;
Starzec i dziewczę, ze łzą nieustanną,
Gorące czoła tuląc ku podłodze:
Jakby wyciągnął chłód ziemi surowej
Winę z ich serca, lub boleść z ich głowy.
Starzec wstał pierwszy, i co starezy siła
Wsparty na kiju szedł modląc się Bo gu;

Dziewczyna jeszcze dłużej się modliła,
Powstała, wyszła, przyklęła na progu,
I tam się krzyżem jeszcze przeżegnawszy
Ku wiejskim polom kieruje bieg zwawszy.

XVI.

Za stodołami są wiejskie mogiły;
Drewniane krzyże zbiegły się gromadą.
Za mogiłami stoi dąb pochyły;
Dalej drożyna, co do lasu jada.
A przy drożynie, wedle leśnej ściany
Sterczy grobowiec z piasku usypany.
Znać z przeszłorocznych zezerniałych badyli,
Że tu rośł oset i pokrzywa dzika;
U nóg zmarłego drzewko się niechyli,
Niezbudowano nad głową krzyżyka.
Wiatr, co z sosnami przyległemi gwarzy,
Nielubi kwilić na tutejszym grobie,

Przeleci czasem— mogiłę znieważy,
 Rozsypie piasek i odlata sobie.
 Niepytaj w wiosce czy prawdy, czy baśni:
 Co to za dzika zacisza grobowa?
 Bo ci niechętnie odmrukną pół słowa,
 Ale pytania żaden nieobjaśni.
 Tu nawet z wioski niezabiega trzoda,
 Ranny skowronek niewywodzi treli:—
 Biedną mogiłę zdaje się przekleli
 I Bóg i ludzie i sama przyroda.
 Za lat pięćdziesiąt (jak zwykle na świecie)
 Jakowys urok mogiłę osłoni,
 Podanie jakieś do niej się przyplecie,
 I będą dziwy opowiadać o niej.
 Dzisiaj ten kopiec jeszcze nazbyt świeży,

By o nim składać piosenki lub pieśni;
A biedny człowiek, co w tym piasku leży,
Był taki samy jak i wszyscy grzeszni.
Nie Szwed, nie Tatar— starej skazki wzorem—
Ani był rycerz doświadczony w sile,
Nawet po śmierci niechodził upiorem,
To i cóż gadać o jego mogile?
Toć chyba jaki żebrak z pod kościoła,
Wziąwszy jałmużnę, modląc się za zdrowie,
Jeśli wie dzieje tutejszego sioła,
O tej mogile kilka słów ci powie.

XVII.

Był to syn biednej wdowy na zagrodzie,
 Która już także w Bogu odpoczywa;
 Składał bywało piosenki we żniwa,
 Zimą na skrzypcach wygrywał w gospodzie;
 Na wszystkich ludzi poglądał surowie,
 Chociaż rad bywał w każdym wiejskim tłumie;
 O dziwnych dumkach, co snuł w swojej głowie,
 Gada bywało— a nikt niezrozumie.
 Na rok przed śmiercią zamilknął jak ściana,
 Jak nawiedzony, dotknięty niemową;—
 Potem do ludzi zbliżył się na nowo,
 I pijał z ludźmi od nocy do rana;—

A gdy w gospodzie niebyło nikogo,
 Pijał sam jeden bez końca, bez miary;—
 Snuł się po polach niedeptaną drogą,
 Szedł w dzikie lasy, w niedostępne mszary,
 I śpiewał pieśni usiadłszy przy sośnie,
 Rad, że mu echo odhuka donośnie.
 Tak przez półrocze, czy coś więcej pono,
 Pijąc i piejąc o swojej niedoli,
 Głowę przez trunek i pieśń odurzoną
 Cisnął rękami— wołał: że go boli,
 Że serce drze się, że puls coraz prędszy,
 Że z piersi oddech wybucha gorętszy.
 Chciano go leczyć— uciekł od lekarzy,
 Mówiąc: że żaden ulgi nieprzyniesie,
 Że mu najlepiej gdy błąka się w lesie,

Kiedy się w dumkach i pieśniach rozmarzy
 O lepszym świecie, gdzie kmiotkowie sami,
 Gdzie ani dworu, ni gospody niema,
 Gdzie młode dziewczę nieigra z sercami,
 Przysięgnie miłość— i pewnie dotrzyma.
 «Tam mi pozwólcie abym pędził życie!
 «Puśćcie mnie!— wołał w szalonym obłądnie—
 «Tam złożę piosnkę— otoż obaczycie,
 «Że jeszcze takiej niebyło.... niebędzie!»
 I znowu bredząc widział dzikie mary,
 I znowu światu złorzeczył boleśnie;
 Przeklinał trunek, pijąc go bez miary,
 Przeklinał pieśnię, układając pieśnię.
 W końcu w obłądach i sam tak się mami,
 Ze i przeklinał i gadał pieśniami.

Niektóre z piosen chwyciły dziewczęta
 I dzisiaj pieją w sianokos lub żniwo;
 Insze tak mądre, że czart niespamięta,
 Głosiły dolę w przyszłości szczęśliwą:
 O złotych pługach, pod którymi trawa
 Zaraz w wysokie przeradza się zboże;
 O wielkich sercach, z których kropla krwawa
 Całe stolecia uszczęśliwiać może;
 O wielkich pieśniach — i znów mu się kręci
 Taniec w gospodzie i uśmiech dziewczęci.
 A czasem w lesie rękami w pól chwyta
 Brzoškę, jedlinę, albo głogu ciernie,
 I nawpół z płaczem, w pól z uśmiechem pyta:
 «Czy będziesz kochać — ale kochać wiernie?»
 Nareszcie żadnych przełożeń niesłucha,

Nie niepił— niejadł— i pobledniał średze,
 I tu na piasku przy ustronnej drodze
 Oddał nieszczęsny Panu B o g u ducha.
 Nie prędko biednych poszukali szczętów ;
 A gdy znaleźli gdzie leży syn wdowi,
 Tutaj mogiłę wyryli trupowi :
 Bo bez najświętszych umarł Sakramentów,
 I myślą sobie: « Ziemia swojskiej niwy
 « Choć z umarłego niech wyciągnie troski. »
 Ale szalenie w życiu nieszczęśliwy
 Jeszcze nieszczęście sprowadził do wioski.

Nie więcej, w tydzień, trzy trójki pocztowe
 Z urzędnikami do wsi naszej lecą;—
 A kiedy każdy zatrwożony nieco

Zdejmował czapkę uchylając głowę,—
Kazali przysiądz każdemu z współbraci:
Że ów nieszczęsny zapaleniec młody
Umarł z puchliny, z nadużycia wody;
Kto nieprzysięgnie, sowito zapłaci.
Jedni płacili z duszy po talarze,
Drudzy przysięgli—Bóg za to ich karze,
Czy na dobytku, na działwie, na sobie;
Inszemu ogniem poszła roczna praca:
Nie dziw, że dzisiaj wspomniawszy o grobie
Každy z wieśniaków rozmowę odwraca,
W każdym ku niemu wstręt znajdziesz jednaki—
Bo jego pamięć dała się we znaki.

XVIII.

Dziwczę pobiegło kędy oczy wiodą,
Aż do rozwianej wiatrami mogiły.
Tam już u kopca był starzec pochyły,
Jakby za wspólną zeszli się ugodą.
Snadź, że się zeszli dla wspólnej przyczyny
Nierozgrzeszeni dzisiejszego rana—
Że dobry Pan Bóg przez usta kapłana
Nieraczył ciężkiej odpuścić im winy.
Lecz czyliż wina, co ciąży im głowy,
Z polną mogiłą ma związek jakowy?
Coś strasznego wykroczyli pono
Względem szaleńca, co tu pogrzebiono;

Lecz jaka wina wspólnie ich kojarzy?

Kiedy ją zmażą? jakimi zasługi?

O to nie pytaj u wiejskich plotkarzy:

Bóg tylko jeden, a pleban wie drugi.

XIX.

Podarty całun białego śnieżyska
Gdzie-niegdzie ciągnął po dolinach smugi;
Gdzie-niegdzie strumyk z lodów się wyciska,
Płaczą się k' niemu i jeden i drugi,
A opłukawszy poorane niwy
Snują ku rzece swój pęd hałaśliwy.
A wzgórki suche,— na kopcu mogiłnym
Żółty żwir piasków świeci się zdaleka.
Na tle błękitu bije rysem silnym
Kształt klęczącego przy grobie człowieka.
W modlitwie starca gwałtowności niema:
Kłęczy schylony i wsparty na dłoni—

A mówiąc psalmy, na xiążkę, co trzyma,
Kiedy-niekiedy gorzką łzę uroni.

A kiedy ręką łzy ocierał z powiek,
Gdy siwe włosy odgarnął z nad czoła,
Dziewczę ujrzało, że to znany człowiek,
Wesoły grajek z sąsiedniego sioła.

Trudno przypuścić, by zmarłemu szkodził,
Albo ku niemu knował złe zamiary:

On go grać uczył, do gospody wodził,
Jako brat w pieśni, jak przyjaciel stary;

Znany jak człowiek szczerego sumienia,
Z dobrymi ludźmi spędził mnogie lata;—

A czemuż dzisiaj niewziął rozgrzeszenia

I przyszedł płakać nad grobem kamrata?—

Na widok starca zmięszana dziewczyna

Chciała się cofnąć do leśnej uboczy;

Lecz starzec spójrzał, i coś przypomina

I wlepił chmurną źrenicę w jej oczy;—

Zaśmiał się dziko: «Ha! to jakieś czary!

«I ty przychodzisz płakać na tym grobie!

«Dwoje morderców u grobu ofiary!!

«Ha!.. znam ja ciebie—słyszałem o tobie!

«Czego tu szuka kłamana obłuda?

«Po co tn przyszłaś, zalotnico płocha?

«Zakłócić spokój—to ci się nieuda!

«Przebłagać cienia—to zapóźno trocha!

«Dziś biedny Szymon śpi martwo w swęj trumnie,

«A dusza poszła w czyscowe ogniska,

«Zkąd na nas chyba przeklęstwami ciska;

«Groźnie spogląda ku tobie i ku mnie.

«Nas dwoje tylko ukochał na ziemi,—

«A my co za to? w zapoznaniu podłem

«Jad mu podali rękami własnymi!

«Ty rozpacz— ja śmierć na niego przywiodłem.

«Dwoje zabójców... nad jednemi szczęty—

«Zbyt obciążamy jego kości w grobie!

«Dajże tym piersiom choć raz spokój święty:

«Płocha dziewczyno! a idźże ztąd sobie!»

Tak groźnie mruknął— i znów xiążkę bierze,

Na dłoń się wsparła jego głowa siwa,

I zaczynając przerwane pacierze,

Pokutne psalmy znowu odczytywa.

Ale na głowę dziewczęcą bez siły

Zanadto ciosów dnia jednego spadło:

W jej oczach émi się, jej lice pobladło,

Chwieje się, kłęka na piasek mogiły.
Co czyni— sama niepamięta zgoła,
Chwyta garść żwiru i ciśnie do czoła,
I tłumiąc jęki, których pierś niezmieści,
Ledwie na ciche łkanie się zdobędzie.
Poruszył starca ten widok boleści:
«Wypłacz się, dziecię, to ci lepiej będzie!»
I sam podawszy tę radę w niedoli,
Zapłakał cicho, lecz rzewnymi łzami.
Łza zaraz ulży, kiedy sercu boli,
Zwłaszcza gdy inny podzieli ją z nami.—
Czasem łzę jedną okupiłbyś drogo,
W ściśnionem sercu gdy krwi bije fala;
Ale nie zawsze oczy płakać mogą:
Nie zawsze kamień z serca się odwala.

W dniach udręczenia szczęśliwsi im szczerzi
Wsi i natury wychowawcy prości;
Nieraz bohater, mąż hartownej piersi,
Słabiej niewieście jej łez pozazdrości.

XX.

Dziweczę płakało— a gdyby jej łezki
Przesiały żwirem aż w grobowe łożę,
Spadły na piersi z pod grobowej deski,
Biedny umarły wnet wskrzesnąłby może:
Tyle w tych kropłach, co z pod serca biega,
Siły żywotnej i żalu szczerzego.
Gdy płacz szeroki jak posłannik nieba
Ulżył jej boleść pocieszeniem nowem,
Dziweczę ucuło, że sercu potrzeba,
Aby z kimkolwiek podzielić się słowem;
I już niebacząc, czy starzec się chmurzy,
Tak przed nim boleść serdeczną wynurzy:

XXI.

«I wy!... mój Boże!... smuci mię i dziwi—
Wy jeszcze na mnie rzucacie zakały!
Ojcie Tarasie! wy niesprawiedliwi,
Jak Bóg na niebie, jak dzień mamy biały,
Klnę się na męki, co mi serce gniotą,
Jeślim zgrzeszyła— to chyba pustotą...
Musiał ci mówić: jak? gdzie? w jakiej chwili?
Gdyśmy raz pierwszy siebie obaczyli.
On był przychodzić w naszej wiosce obcy
Ze starą matką, gdy tu chatę wzięli.
Często wioskowi gniewali się chłopcy,
Ze Szymon z nimi zabawy niedzieli,

Tryumfowali, że nie taki hoży,
 Śmieli się z niego, że odludek Boży.
 Lecz ja lubiłam jego rzewną postać,
 Jego głos tęskny, jego twarz sierocą.
 Dziwną go Pan Bóg udarował mocą,
 Że mógł spojrzeniem aż głąb' serca dostać.
 Kiedy się zbiorą sąsiadki, sąsiady,
 Jakaś pustotę albo żart uczynim;
 On tylko spojrzał— a każdy z gromady
 Płochego żartu zawstydził się przy nim,
 Choć żadnem słówkiem, choć żadną przestrogą
 Nieupokarzał równienników grona;
 Bóg raczy wiedzieć, co te oczy mogą....
 Ja sama nieraz byłam zawstydzona,
 Kiedy, bywało, niestrzegę się ściśle,

Kiedy coś powiem, czego niepomyszę.
Nim go nieznałam i ja byłam płocha,
Lubiłam żarty wioskowej młodzieży;
Ale na niego popatrzysz trocha,
Poczułam jakoś, co mi się należy;
I gdy, bywało, on samotny w tłumie,
Ja w jego oczy poglądałam rada,
I zawsze jakoś serce wyrozumie,
O czem on myśli lub o czem zagada.
A i on nieraz, aż uczułam trwogę,
Umiał odgadnąć, co ja myśleć muszę;
Jak się to działo? powiedzieć niemogę,
Tak jakoś Pan Bóg stworzył nasze dusze.
Czyśmy się prędko poznali, kochali?
Ojcie Tarasie! tego coś niepomne...

Lecz było ze mną tём gorzej im dalej:
Gdy go niewidzę— już dni nieprzytomne,
Już sny bezładne— nawet żyć niemiło....
A tam nad rzeczką, pod wierzbą pochyłą,
Jest stary kamień— tam, gdy wieczór złoty,
On lubił siadać wracając z roboty;
Lubił spoglądać na łąki zielone,
Na ciemne lasy, na błękitne nieba.
Jakoś pod wieczór zawsze w tamtą stronę
I mnie bywało wychodzić potrzeba:
To naszych owiec zbłąka się gromadka;
To do sąsiadów posyła mię matka;
Albo mój dziadek, wśród pustej gawędki,
Przypomni sobie siedząc u wieczerzy,
Ze nieopatrzył w zatoce węcierzy,

Albo na trawie zapomniał swęj wędk.
 Ojcie Tarasie! wszak pamiętasz dziada:
 Był bardzo srogi!—rada czy nierada
 Muszę tam śpieszyć—a kiedy się zjawię,
 To siedzi Szymon na kamiennęj ławie,
 Da *dobry wieczór* i o czémś zagada,
 To muszę słuchać, rada czy nierada...
 Czy go kochałam? niewiem ani trochy:
 Bo to kochanie świat różnie uważa.
 Parobczak chciałby wyjść na gospodarza,
 Dziewczynie przykre łajanie macochy,
 Więc mówią sobie: «Już tego zawiele!
 «Będziem się kochać, weźmiem ślub w kościele
 «I półwłócz gruntu weźmiemy we dworze,
 «Na weselisku poskaczem, wypijem,

«Przecież na starość niepójdziemy z kijem,

«Bóg nas na ludzi wyprowadzi może.»

Dla mnie z Szymonem, nie takim obrazem

Stawała przyszłość we szczęście bogata:

Byle ogródek, rozwalona chata,

Lecz będziem razem—zawsze z sobą razem.

Szymon powiadał: «Marto moja, Marto!

«O inszém życiu i mówić niewarto.

«Będziem ubodzy—ja ci piosnkę sklecę

«O Panu Bogu, o wiosnie, o rzece,

«O czém ty zechcesz—mam piosnek nawałem,

«Ja w pieśni nową utoruję drogę;

«Od pewnej chwili... gdy ciebie poznałem,

«O wszystkiem piosnki wyśpiewywać mogę.

«Lecz, Marto moja! marzenia na stronie—

«Póki nam życia spełnią się rozkosze,
 «Póki się ojcu twojemu pokłonię,
 «Póki u matki twój rękę poproszę,
 «Póki przed ołtarz poprowadzę ciebie, —
 «Powiedz mi szczerze, jak Pan Bóg na niebie:
 «Czy ty mnie lubisz?— bo ja szczęście ziemi
 «Chwilki niemyśląc w twoje ręce złożę;
 «Ale ty, Marto, broń Boże! broń Boże!
 «Twe płoche myśli puścisz za drugimi!
 «To wtenczas biada całej naszej doli:
 «Ostatnia nitka mego szczęścia pękła!»
 Szymon zapłakał, jam przed nim uklękał:
 «Niech Bóg— mówiłam— niech Bóg niepozwoi,
 «By serca nasze w jakiegokolwiek dobie
 «Miały się zmienić, ostygnąć ku sobie!»

Szymon szczęśliwy, chciał coś odrzec na to;
Lecz było późno— zerwałam się z ławy...
Czy to ze szczęścia, czy może z obawy,
Serce mi drżało gdy wbiegłam do chaty.
Aż wpół oślepte źrenice u dziada
Dostrzegły bladość— zaprzestał gawędki:
«Co tobie, Marto? czegoś taka blada?
«Napij się wody! Bieg musiał być prędk!»

XXII.

«Na przyszłą wiosnę miał być ślub z Szymonem.

Marzyłam o nim, liczyłam tygodnie,

Po tysiąc razy w sercu rozmarzonem

Pytałam siebie: czy miłość niechłodnie?

Lecz serce zawsze mówiło radośnie,

Że silniej bije, że uczuciem rośnie.

A on czy kochał?—dobrzem to wiedziała,

Inaczej wierząc grzeszyłabym srodze;

Weiaż jedną myślą jego głowa pała,

Weiaż w jego duszy nowy skarb znachodzę.

Ale my biedni—wśród mozolnej pracy

Nie sposób zawsze bywać przy kochanku;

Nie sposób być tam, gdzie się myśl obraca;
Nie sposób serca pieścić bez ustanku.
Potrzeba było grosza na wesele,
Na zapowiedzi i na zaręczyny:
Więc biedny Szymon nie czekając wiele,
Przystał na flisa do dwornéj wiciny.
Insi szli, pieśni śpiewając ochocze,
A on był smutny, jak jodła na grobie...
I ja nieszczęsna niewierzyłam sobie,
Jak też potrafię przeżyć to półrocze...
Straszny był wieczór, gdyśmy się rozstali!
Jego wspomnienie aż dotąd mię męczy—
Gdyśmy słuchając szumu rzecznej fali,
Wsparli się mileząc na mostu poręczy,
I jakby jedną myślą ożywieni,

Błądzili wzrokiem po niebios przestrzeni...
 Ojcie Tarasie! choć żyłeś lat wiele,
 Takiego nieba niewidziłeś może:
 Ciemne chmurzyska nad lasami ściele,
 Tłoczy wierzchołki czarnych jodeł w borze,
 Pokrywa mgłami i rzeczkę i błoto
 I serce jakąś naciska tęsknotą;
 Z każdej mgły mara wysuwa się blada;
 Złowrogi przestrach jakby z deszczem pada.
 A tutaj boleść znęca się nad duszą,
 Że się potrzeba rozłączyć na dłużej;
 A takie niebo niedobrze coś wróży,
 A tam na Niemnie głębiny być muszą,
 I pełno wiosek, pełno miast przy Niemnie,
 A tam dziewczęta piękniejsze ode mnie...

Mówiłam pacierz do Aniołów stróży;
 Wzywałam rzewnie ich opieki świętej,
 Aby go strzegli od fali, od burzy,
 A jego serce od jakiej ponęty...
 Szymon mi mówił: «Bądź zdrowa! bądź zdrowa!
 «Wrócę zdrów, wesół, przyspieszę wesele.
 «Przeklęty będzie, kto przysiąg niechowa!
 «Półrocza czasu—och, jakże to wiele!
 «Sercu kobiety wielu się spodoba:
 «Och! to półrocze, jakaż długa proba!»
 Uklękałam przed nim i złożyłam ręce:
 «Niechaj sam Pan Bóg pokarze mnie biedną,
 «Gdy przez półrocze chociażby myśl jedną
 «Komu innemu niż tobie poświęcę!
 «Związek wieczysty, święty i niewinny

«Zanadto silnie serca nam skojarzył,
 «Aby kto inny jeszcze nam się marzył,
 «Aby nas zdołał zajmować kto inny.
 «Tu nawet żadnej niebędzie zasługi:
 «Bo mi do duszy nieprzypadł nikt drugi;—
 «Nikt nieprzypadnie—mogę ręczyć śmiało:
 «Bo gdy raz serce ciebie pokochało,
 «To już nieznajdzie w całym świata tłumie,
 «Choćby się chciało przენiewierzyć zdradnie,
 «Nikogo w świecie, co mię tak odgadnie,
 «Co wszystkie moje dumki wyrozumie.
 «Tyś mi zanadto po małej iskierce
 «Rozpalił głowę i rozpieścił serce.»
 Takem mówiła... Uwierzył—uścisnął...
 Zapłakał tylko—i przyszło rozstanie...

Xiężyc coś dziko przyglądał się na nie,
I krwawem światłem nad nami zabłysnął.
Raził mi oczy jego blask iskrzaty,
Kiedy spłakana wracałam do chaty.

XXIII.

«Po takich chwilach jeszcze marzym w nocy;
Miłą przeszłością słodzim stan sierocy.

Ale poranek... to skończenie świata!

Piekło na ziemi, gdy przymkniesz oczyma,

A myśl najpierwsza w głowie zakołata:

Już jego niema!

Co począć z sobą?... z tym dniem—co natrętny

Już bije w oczy promieniami jak nożem?

Z jutrem?... z niedzielą?... a toż dzień pamiętny,

Tośmy się w domu spotykali Bożym,

To na cmętarczy, to w chacie sąsiada,...

Albo wieczorem—och! gdy wieczór pada,

Czy iść nad rzekę? sięść na kamień znany
 I tam skamienieć— nie pójdę w tę stronę!
 Bo jeszcze przyjdzie szal niespodziewany,
 Zeskoczę z mostu i w rzece utonę...

Czy iść na pole?.. O! nie! tam przy gruszy
 Wiliśmy kiedyś wianki z polnych ziółek!—
 Może do ludzkiej przytulić się duszy?
 Straszno!! nie lubię moich przyjaciółek!!
 Bo przyjaciółka wie, czém mnie zatrzyma,
 O czém ja mówię, o czém marzyć rada;
 Najpierwsze słowo, co do mnie zagada:

Już jego niema!!..

Dowodzą ludzie, że jest takie ziele,
 Co można łyżkę lub wiadro nawarzyć,
 Wypić i przespać dni, tygodni wiele—

Och! jak to błogo! byle spać i marzyć,
A w tém marzeniu miewać sny prorocze!
O! takbym spała przez całe półroczce!
Lecz takie ziółko rośnie za morzami—
Nam trzeba czuwać, żyć i śmiać się marnie...
Ojcie Tarasie! jakież to męczarnie,
Pierwszy poranek gdy zostaniem sami!
Serce ci pęka, z bólu niewytrzyma,
Jeszcze się nieraz zapomnisz w tej chwili,
I myślisz sobie: on troski umili...
Lecz się ocykasz: że jego już niema!

XXIV.

«Tak dzień upłynął na strasznej torturze—
 Przyszła noc znowu— i znowu świtanie...
 Któż te męczarnie wypowiedzieć w stanie?
 Zanadto boli— ja ich niepowtórzę...
 Przed jedną matką, w której pełna wiara,
 Serce cierpiące całkiem się odśłania;
 Lecz moja matka— ona nazbyt stara,
 Gdzież jej zrozumieć boleści kochania?
 Przeszło dni kilka, nawykłam z niedolą...
 Chciało się płakać, lecz chciało się współki;
 Wezwałam k' sobie wierne przyjaciółki,
 To naśmieszyły, że aż boki bola.

Nazajutrz ciężka zajęta mię praca,
Smutek złagodniał— i już niepowraca.
Lecz do snu dawne wspomnienie się ciśnie:
Bom jedną myślą zawsze uniesiona;
Czuję, że kocham, więc Szymona przyśnię,
Ale już mglisto śniłam twarz Szymona,
Potem w snach moich i twarz i postawa
Już jakby obłok niewyraźnie stawa.
A jednak ogniem jednych uczuć pałam,
A jednak szczerze Szymona kochałam.
Tak, nim w połowie ubiegło półrocze,
Rozrywać smutek czułam się w potrzebie;
Już przyjaciółek zabawy ochocze
Coraz mię częściej nęciły do siebie.
Gorzkiem przeczuciem jak gdyby chorobą

Ciągle dręczona, czułam jak to boli,
Pragnęłam smutek złagodzić powoli,
Uciec od myśli, niebyć sama z sobą.
Kiedy łzy z oczu lały się gorące,
Ja biegłam śmiać się do rówieńnic rzeszy;
Ten memu sereu spodobał się więcej,
Kto najweselszy, najprędzej rozśmieszy...
Ojciec Tarasie! tak jak mnie widzicie,
Ja w duszy mojej tak niegdys bogata,
Co dotąd rzewnie patrzałam na życie,
Poczęłam śmiać się z życia i ze świata;
Śmiałam się nawet płocho uniesiona
Z naszej miłości, z siebie i Szymona.

Tak przeszło znowu dwa czy trzy tygodnie—
 On zawsze w myślach, choć nietak go cenię.
 Czasem mi zeicha powiada sumienie
 Takimi śmiechy, że śmiać się niegodnie;
 Że Szymon we mnie taką widząc zmianę,
 Gorzko zabołć w głębi duszy może;
 Dziwne wyrzuty aż dotąd nieznane
 Gryzły mię z rana, gdy oczy otworzę,
 Gdy jakaś władza w głębi piersi skryta,
 O całodzienny rachunek zapyta...
 Och! niepodobna być z sobą sam na sam!
 Mówiłam ręce łamiąc rozpaczliwie:
 Idę do ludzi—pracuję we żniwie,
 Albo na łące śmieję się i hasam.
 Zwano mię pustą— a nikt i przez chwilę

Niechciał odgadnąć, co ten śmiech porusza!
 Miałam przyjaciół, przyjaciółek tyle,
 Przecież niezgadła ani żywa dusza:
 Ani mój dziadek, co stawiać wiewiórki,
 Często się chwalił, że zna świat nielada;
 Ni moja matka, co modląc się szczerze,
 Zawsze bywało o sumieniu gada;
 Ni rówiennice — przecież są młodemi,
 Młodego serca tajniki znać muszą...
 O! gdzie tam! gdzie tam! dobrze śmiać się z niemi,
 Lecz trudno duszy rozmówić się z duszą...
 Jedenby Szymon zgadł w najprędszym czasie,
 Ale go niemasz na nieszczęście moje.
 A mówiąc szczerze — och, ojcze Tarasie!
 Już jego przyjscia czułam że się boję,

Że będzie cierpieć nad moją odmianą,—
 Chciałam go widzieć, nie będąc widzianą.—
 Zagłuszyć wyrzut, co dręczył kryjomu,
 Nigdzie nie lepiej jak w rówiennie kole:
 Więc byle chwilka— wymykam się z domu,
 Z towarzyszkami śmieję się, swawolę.
 A kiedy czasem wracając z roboty
 Który parobczak zjawi się do grona,
 To jeszcze więcej śmiechu i pustoty,
 To jeszcze bardziej byłam ożywiona.
 Z taką się myślą oswajałam co dnia:
 By durzyć chłopców... tak sobie... bez celu...
 Czy to, bróń Boże, taka wielka zbrodnia,
 Kochać jednego, a bawić się z wielu?
 Wszak to miłości przeszkadzać niemoże,

A mego serca żaden nieprzebodzie;
Gdzie tam ich kochać? at, stworzenia Boże!
Dobrze się pośmiać, potańczyć w gospodzie.
Wszak kiedy Szymon powróci na końcu,
Już wieczny rozbrat ze światem uczynim;
Biedne chłopczyśka— oni zgasną przy nim,
Jak małe gwiazdki przy pogodnem słońcu.
A czyż to lepiej, gdy się głowa pali,
Od smutnych dumek kiedy serce więdnie?...
Tak sobie myśląc wciąż dalej a dalej
Zycie pustoty wiodłam nieogłędnie.

XXV.

«Młody parobczak, syn strzelca z pod gaju,
Był chłopiec wesół, piśmienny, bogaty,
I często gęsto miewał we zwyczaj,
Do mego dziadka zachodzić do chaty.
Czasem się zdarzy, kiedy niema dziada,
Muszę go przyjąć rada czy nierada.
O niczem mówić nie lubił poważnie,
Ale z nim śmiać się tak było wesoło!
Że myślę sobie: ot tego podrażnię,
Na tem coś wygra całe nasze sioło.
Bogaty, wesół— on w każdą niedzielę
Zamówi skrzypce i miodu zakupi.

Spogląda na mnie — trochę go ośmiele,
Niechże się kocha, kiedy taki głupi!
Jam siebie pewna: niepokocham przecię,
Oprócz Szymona, nikogo na świecie.
I tak się stało... Bywało co święta
Aż drży gospoda od tańca i skrzypiec,
Wdzięczne mi były wioskowe dziewczęta,
Lało się zdrojem i piwo i lipiec;
A ja spokojna na mój drodze cnoty,
Śmiejąc się w duchu, przyjmuję zaloty.

XXVI.

«Jednej niedzieli szło gwarniej jak zawsze:

Poczęło zmierzchać i nastało ciemno;

Skrzypce głośniejsze, tańce były żwawsze,

A młody strzelec wciąż tańczył ze mną,—

I w jego rękach trzymając me ręce

Wiodłam ochotę i tańce złowieszcze,

W tańcu swawolę, wymykam się, kręcę,

A tak chychocę, że jak nigdy jeszcze...

Wtém, jak mi później ludzie powiadali,

Wszedł do gospody podróżny z tłumokiem,

Dokoła powiódł jakimś dziwném okiem,

I w ciemnym kątku siadł sobie w oddali.

Tak patrzył na nas godzinę czy więcej;

Już go poznali niektórzy sąsiedzi,

A ja swawoląc coraz to goręcej,
 Anim zważała kto tam w kątku siedzi.
 Wtém dał się słyszeć łoskot na podłodze,
 Jakiś jęk głuchy przerwał skrzypiec tony;
 Przypadli ludzie przerażeni srodze...
 Podano ognia— to Szymon zemdlony!
 Czyż trzeba mówić, żem zbladła, krzyknęła?
 Że w serce moje uderzył grom Boży?...
 Całą szkaradę mej płochości dzieła
 W jednym momencie uczułam najsrożej...
 Ludzie podbiegli, po imieniu zową,
 Twarz mu skropili i podali wody.
 Szymon się ocknął, popatrzył grobowo,
 Jeszcze się zachwiał i wyszedł z gospody.
 Wybiegłam za nim— Szymonie ! Szymonie !

Lituj się ! przebacz ! powitaj mię z drogi !

Ale on spojrział jakby duch złowrogi,

I poszedł dalej— tu, ku lasu stronie.

Ja go dopędzam, ukłękam na drodze;

Lecz mię odepchnął rękami drżącemi:

«Zabiłaś, Marto! zabiłaś mię srodze!

«Zabiłaś wiarę we wszystko na ziemi!

«Przekłęte trzykroć to plemię człowiecze !...

«Ten świat nie dla mnie.... bywajcie już zdrowi!»

Znów zastąpiłam drogę Szymonowi,

Lecz znów odepchnął i słowa nierzecze.

Poszedł do lasu— mnie zamrok uderzył,

Padłam i w ziemię uderzyłam głową;

A gdy chłód nocny nieco mię odświeżył,

Przyszłam do chaty bredząc gorączkowo.

XXVII.

«Przez dwa tygodnie leżałam w malignie,
 Ze strasznej śmierci pasując się siłą...
 A gdy mię Pan Bóg z choroby podźwignie,
 Już w naszej wiosce Szymona nie było.
 Mówili ludzie: że ledwie oddycha,
 Że się zabłąkał w najciemniejsze knieje,
 Że jakieś piosnki wyśpiewywa zcicha,
 I dzikim śmiechem szydersko się śmieje;
 Że nigdy słowa niemówi do człeka;
 Że tak się błąka całe dni i noce;
 Że dreszcz ogarnia słuchając zdaleka,
 Kiedy z nim leśne echo zachychoce...

A tutaj w wiosce, w zagrodniczej chacie,
Dogorywała jego matka w nędzy,
Chciałam ją cieszyć po syna utracie,
Lecz mię przeklęła— uciekłam co prędej...
Przyszłam nazajutrz— i znowu przeklina...
Tylko już w samej ostatniej chorobie,
Że pozwoliła czuwać mi przy sobie,
I nienazwała zabójczynią syna,
Spędzałam przy niej długie chwile czasu;
Czuwałam nad jej ostatnią godziną...
On się raz przywlokł pod chatę matczyną;
Ujrzał mię w oknie— i wrócił do lasu.
Matka umarła— a jego niebyło;
A gdy ją gmina pogrzebła wioskowa,
Przyszędł, zapłakał nad matki mogiłą,

Lecz do nikogo niepowiedział słowa...

Potem się zjawił— ale w jakim stanie!

Blady, odarty, upadły do tyła,

Że gdzie przed świtem! póki jutrznia wstanie,

Już on w gospodzie kielichy wychyla,

Dziwne piosenki bełkoce bezładnie,

I znowu pije dopóki z nóg spadnie.

Zadrzymie chwilkę, wstanie i znów woła:

«Dajcie mi czarę! precz z życiem przeklętym!»

Chciałam doń mówić— niepoznał mię zgoła;

A może poznał, bo spójrzył ze wstrętem,

Zgrzytnął zębami, odwrócił się żwawie,

Wychylił czarę i zasnął na ławie....

Tak stargał życie— i po krótkim czasie

Nieszczęśliwego niabyło na świecie!...

Ojciec rodzony! ach, ojciec Tarasie!

Jak na spowiedzi teraz wszystko wiecie...

Dzisiaj w kościele—ot tak, słowo w słowo,

Odkryłam rany mojego sumienia.

Lecz że zabójstwo ciąży nad moją głową,

Pleban mi dzisiaj nie dał rozgrzeszenia,

I kazał tutaj modlić się w pokorze,

Póki przebłagam miłosierdzie Boże!»

I tak dziewczyna, pasując się w męce,

Długo płakała twarz ukrywszy w dłoni;

A stary Taras, załamawszy ręce,

Jęknął serdecznie, i tak mówił do niej:

XXVIII.

—«Późny żal przyszedł do twojego serca.

Zapóźno wracasz na poprawy drogę...

Ja ci okropną pociechę dać mogę:

Że jeszcze drugi jest jego morderca!

Tyś rozpoczęła nierozważnym szaleństwem,

A ja zabójstwa jego dokonałem.—

Jaż przecie starzec— gdzież moja rozwaga?

Ja, com doświadczył tyle w życiu mojem,

Ogień piekielny, co się w sercu wzmaga,

Jam mu podniecił gorącym napojem.

Słuchaj!

On długo blakając się w lesie,
 Wpół-nieprzytomny, prawie wpół-umarły,
 Jakoś ku mojej przywędrował strzesie;
 Do drzwi zapukał — drzwi mu się otwarły.
 Poznał mię prędko — zapłakał boleśnie,
 I całą siłą rzucił się na szyję:
 «Ojcie! — zawołał — znasz jak serce bije,
 «Bo tyś mię uczył, jak się składa pieśnię!
 «Kłamstwo, mój ojcie, że jest cnota w świecie;
 «Że za ród ludzki żyć i umrzeć warto...
 «Ty znałeś Martę — och! to święte dziecię!
 «Ojcie! weź książkę! pomódl się nad Martą!
 «Już Marty niema — już śmierć w jej żrzenicy —
 «Ona zginęła! stracone nadzieje!
 «Choć jeszcze żyje, choć jeszcze się śmieje,

«To ziemny robak z śmiechem zalotnicy!»
 Tak wpiwszy we maie swe źrenice krwawe,
 By zebrać oddech całe piersi sili,
 I wszystko w jednej wypowiedział chwili,
 Zaśmiał się gorzko i usiadł na ławę.
 Łzy mi stanęły, żal ścisnął się w łonie;
 Chciałem go cieszyć najprędzej, najprościej;
 Rzekłem wesoło: «Żle czynisz, Szymonie,
 «Że z jednej sądzisz o całej ludzkości!
 «Ona zdradziła— ty cierpisz! ja wierzę;
 «Lecz śmieć się z tego— jedyny ratunek,
 «Potrzeba w inszej pokochać się szczerze;
 «Ale tymczasem—trunek na frasunek!
 «Mam tu miód stary— wypij, to pokrzepi!»
 —«O nie, mój ojcie!— tak Szymon odpowie—

«Jam niegdyś pijał, nadwerężył zdrowie,
 «Piłem w cierpieniu—niebyło mi lepiej.
 «Niechaj ten pije, który rąbie drzewa,
 «Pracuje z pługiem, albo trzody pasie;
 «Lecz my próżniacy—ach, ojcie Tarasie!
 «Nas dostatecznie piosnka rozegrzewa,
 «Boleść rozpala, a myśl ogniem piecze,
 «Już i tak serce rozpęknąć się może!»
 A jam nalegał: «Człowiecze, człowiecze!
 «Zrozumieć życie, szanuj dary Boże.
 «Że dziś czy jutro ma cierpieć z nas który,
 «O tém już dawno przewidziano z góry.
 «Trunek, co duszę wpół-martwą ożywi,
 «Co w stare kości wlewa siły młode,
 «Nie dla tych dany, którzy są szczęśliwi,

«Lecz dla cierpiących— po łzach na ośłodę!»

Tak nalegałem, bom kochał Szymona,
Sądząc, że w smutnym zlecę go obłędzie,
Że gdy wstręt pierwszy do czarki pokona,
To już weselszym i szczęśliwszym będzie.
Więc go zakląłem: jeśli jest kolegą,
Kocha mnie— ludzkość i Boga samego,
Niech pokosztuje.

Skosztował z kielicha,
Wypił aż do dna— nalał drugi, trzeci.
Chciałem go wstrzymać— już rękę odpycha,
Już dzikim ogniem jego oko świeci:
«Pić mi podajcie!— tak zakrzyknął wściekle—
«Ogień piekielny niech pali się w piekle!

«Nalej mi miodu, gorzałki czy smoły!...
 «Zdrowie zdrajczyń!... pij ze mną Tarasie!»
 Pił i nalewał już martwy na-poły,
 I krzyknął: «Pijmy! teraz już po czasie!
 «Spełniona dola... przeklęty, przeklęty!
 «Kto pierwszą kroplę w moje usta wsączył!...
 «Krew? już do piersi nawala się wzdętej...
 «Nalałem czarę— do dna będę kończył:
 «Dopytam może gdzie jest szczęścia meta...
 «Niech żyje ludzkość! niech żyje kobieta!»
 Tak pierwszy puhar spełniwszy złowrogi
 Pobrnął do wioski lasami i jarem,
 I tam do reszty zgubił się puharem,
 I tu nieszczęsny spoczął wedle drogi...
 To my, dziewczyno— to my go zabili,

I brama piekieł wspólnie nam otwarta...
Przyjaciel Taras i kochanka Marta
Do ostatecznej dowiedli go chwili:
Bo podbudzając niebacznie, zdaleka,
Rozpłomienili namiętności człeka...
Ty z jego serca wypeniłaś wiarę
W godność ludzkości, którą wyssał z mlekiem;
A ja ognistą podałem mu czarę,
Aby do reszty przestał być człowiekiem.
Kto z nas winniejszy — Bóg kiedyś rozważy.
Tyś go na duszy, jam zabił na ciele...
Nam się zdawało, że takich zbrodniarzy
Kapłan od razu rozgrzeszy w kościele.
Lecz nas odepchnął, wskazał za pokutę
Własne sumienie i modlitwę łzawą;

Aż w dzień Zaduszny będziemy mieć prawo
Znów nasze myśli gorzkie i zatrute
Otworzyć przed nim... Tu, u grobowiska
Krzepmy modlitwą serce, co usycha.
Dosyć rozpaczy! niechaj modła cicha
Uleczą boleść, co serce naciska.
Męczennik serca, co leży w tym grobie,
Może już przebył czyscowe otchłanie,
I nam odpuścił winy przeciw sobie,
I nas przed Bogiem uniewinnia za nie.
Modlmy się tylko!

Wspart głowę na rękę
I czytał psalmy pokutne ze łkaniem;

Dziewczyna głosem boleśnego jęku
Słowo za słowem powtarzała za nim.

Wieczorne słońce z za góry, z za chmury
Rozlało uśmiech po ziemskim obszarze,
Rzucając promień złotawej purpury
Na las, na wioskę, na pokutne twarze;
A w mgłach wilgotnych od wybrzeża rzeki
Na *Anioł Pański*— jęknął dzwon daleki...

EPILOG.

Och ! gdyby życie było poematem,
 Jakżebym pięknie skończył moją powieść !
 Że Szymon wskrzesnął, aby szczerze dowieść,
 Że się pojednał z ludzkością i światem;
 A przebaczywszy, że cierpiał tak wiele,
 Już swojej Marcie dałby rękę czułą,
 Pleban te ręce powiązałby stułą,
 Taras ze skrzypcą przyszedł na wesele...
 Lub coś rzewnego obmyśliwszy raczej,
 Skreśliłbym obraz w całej pędzla sile:
 Że Marta długo płacząc na mogile,
 Jednego ranka umarła z rozpacz...

Ale ja prawdzie muszę być posłuszny;
 Muszę być wierny i w miejscu i w czasie.
 Więc za półrocze przyszedł dzień Zaduszny,
 Xiądz widział skrucę w Marcie i Tarasie,
 Dał rozgrzeszenie ze szczerego łona;
 Więc otrzymawszy miłosierdzie Nieba,
 Czuli, że życiu wypłacić coś trzeba.
 I zaniechali mogiły Szymona..

Wiatr rozwał piaski— i zielsko porosło,
 Po zgniłych kościach oplata się żmija...
 Taras odnowił pieśniarza rzemiosło,
 Siedzi w gospodzie i miodek popija;
 A co sam lubi, to i drugim radzi,
 Że na frasunek trunek niezawadzi..

Po dniach pokuty i ciężkiej spowiedzi
 Marta znów w tańcu wodziła orszaki.
 Zjawił się chłopak— już niewiem kto taki,
 Prosił o rękę, dał na zapowiedzi; —
 Więc poszła zamaż— i co idzie za tém,
 Pan Bóg dał dzieci, gospodarkę, zboże,
 Wszystko jak trzeba... O Boże mój, Boże!
 Czemu to życie nie jest poematem?!

KONIEC.

d. 23 Marca 1856.
 Borejkwoszczyzna.





60

A. 220-

806682/161073



WYŻSZA SZKOŁA NAUCZYCIELSKA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

68481

Biblioteka WSP Kielce



0182207